

# Teodozja Kostylew

---

## Byłam „Siłaczką” w Siedlanowie

---

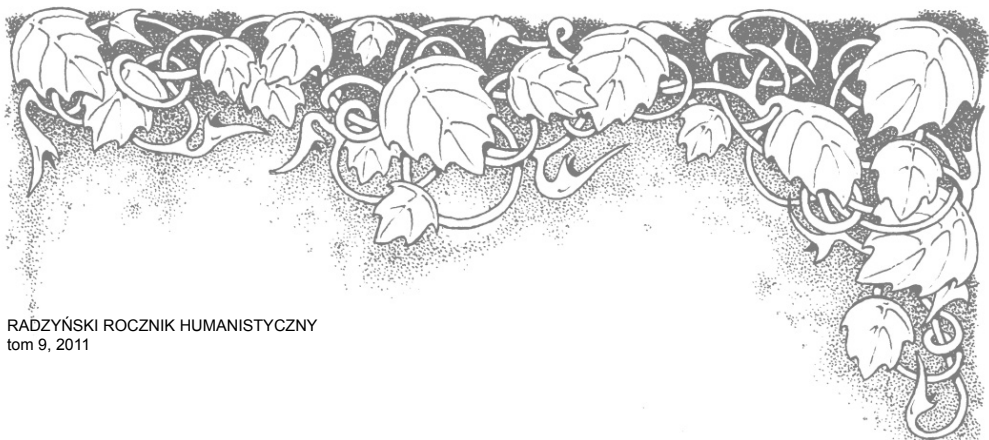
Radzyński Rocznik Humanistyczny 9, 173-178

---

2011

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Teodozja Kostylew

## Byłam „Siłaczką” w Siedlanowie

**B** było to po pierwszej wojnie światowej. Na terenach byłego zaboru rosyjskiego rozbudowywano sieć szkolnictwa powszechnego, obejmującą również wioski. Do jednej z nich, lecz nie za górami, bo na Podlasiu, zaniósł mnie los w roku 1923 po ukończeniu seminarium nauczycielskiego w Przemyślu.

Pewnego sierpniowego dnia przyjechałam pociągiem do stacji otoczonej lasami. Stąd „dryndą” żydowską dostałam się do powiatowego miasta, odległego o 6 km od stacji. Wzdłuż obu stron wyboistej szosy wznosiły wysoko swe konary stare, o bardzo grubych pniach - topole. Za nimi na lewo i prawo ciągnęły się uprawne pola i ugory z gromadkami pasących się owiec. Krajobraz zamykały ciemne pasy lasów. W mieście odnalazłam Inspektorat Szkolny, który mieścił się w małym budynku mieszkalnym. Tu wskazano mi położenie mojej placówki pracy, wieś Siedlanów leżącą 2 km od stacji. Najbliższą dryndą jechałam z powrotem tą samą szosą aż do stacji, od której wiodła droga do mojej wsi. Jej kierunek regulowały rosnące po obu stronach w odstępach płaczące brzozy. W tym samym kierunku szedł mężczyzna w granatowej maciejówce na głowie, jakie nosili wszyscy mężczyźni w okolicy. Zawarłam z nim znajomość. Gawędząc przebyliśmy szybko tę piaszczystą, dwukilometrową drogę. Z pewnej odległości od wsi poczułam specyficzny zapach dymu. Nie wiedziałam wtedy, że tak pachnie płonący torf używany w tych stronach jako opał.

Mój przewodnik doprowadził mnie do opiekuna szkolnego. Nie spodziewano się mego przyjazdu, ale przyjęto mnie gościnnie. Gospodyni zaprosiła mnie do stołu, na którym postawiła miskę ze śmietaną obok dużej, kremowej kuli z połyskiem. Byłam pewna, że to masło. Nie miałam odwagi na taki zestaw potraw, masło ze śmietaną? I mimo zachęceń gospodyni nie brałam się do uczt. W przeświadczeniu, że onieśmiela mnie wielkość kuli, gospodyni przekroiła ją na połowę. Na przekroju półkul ujrzałam otworki różnej wielkości i dopiero zrozumiałam, że kula była

z ciasta. Był to drożdżowy parowaniec – duży pieróg ugotowany na parze. Jest to tradycyjna, przeważnie świąteczna potrawa Podlasiaków, którzy robią też parowańce nadziewane kaszą jaglaną, gryczaną, soczewicą i serem, a jada się je ze śmietaną lub tłuszczem.

Po smacznym obiedzie odbyłam „konferencję” z opiekunem szkolnym, z której wynikało, że we wsi nie ma ani szkoły, ani mieszkania dla nauczyciela. Moja poprzedniczka, siła niekwalifikowana, pochodziła z Radzyna. Przywożono ją i odwożono codziennie, o ile czas i warunki atmosferyczne pozwalały. Do miasta było 8 km.

U opiekuna szkolnego spędziłam dwie doby. Sypiałam w ciemnej nyży o rozmiarach 1,5 x 0,5 m, na wyrku zwanym „sofką”. Z podkulonymi nogami mieściłam się jakoś na niej.

Z moim lokalowym kłopotem udałam się do Inspektoratu Szkolnego. Tu załatwiono mnie krótko – węzłowato: „Musi pani sama sobie wywalczyć i szkołę i mieszkanie”. Tego nas w seminarium nie nauczono, ale wyboru nie miałam, bo w innych wsiach były podobne warunki. Zrezygnować i wrócić do domu nie mogłam. Głęboko w duszę zapadły mi słowa pożegnania: „ Jak ci tam będzie źle, to mi nie pisz, bo nie myślę ci pomagać”. Zresztą nie po to z trudem, o własnych siłach zdobyłam zawód, by teraz zrezygnować z pracy i samodzielnego życia. Musiałam sobie uświadomić, że mam 19 lat, a więc jestem dojrzała, co przecież stwierdzono w maturalnym świadectwie. Zatem trzeba walczyć, optymizm dopomógł.

Opiekun szkolny odprowadził mnie do sołtysa. W drodze do niego mijaliśmy chaty pokryte strzechami czarnymi ze starości, rozjaśnionymi gdzieniegdzie zielenią mchu. Niektóre tak wrosły w ziemię, że futryny okien u dołu były na poziomie podwórza. W tyle, za domami stały rzędem podobne do nich stodoły. Studnie z żurawiami zaopatrywały wieś w wodę a poczerniałe koryta służyły do pojenia bydła i koni. Dostęp do studni utrudniały kałuże, a w zimie lodowa powłoka. Spośród zieleni bżów w ogródkach patrzyły w dal krzyże.



*Mijaliśmy chaty pokryte strzechami czarnymi ze starości, rozjaśnionymi gdzieniegdzie zielenią mchu. Niektóre tak wrosły w ziemię, że futryny okien u dołu były na poziomie podwórza (fot. Tomasz Młynarczyk)*

Sołtys, człowiek starszy, był też gościnny, jak zresztą wszyscy mieszkańcy tej wioski. Przyjęto mnie w dużej izbie, gdzie przy jednej ścianie, wzdłuż całej jej długości stała ława a obok niej stół z krzesłem. Drugi kąt izby zdobiło łóżko zasłane wełnianym kilimem w kolorowe pasy własnej roboty. Na nim piętrzyły się dwie puchowe poduszki i jasiek w poszewkach rozszytych szydełkowymi wstawkami. Trzeci kąt wypełniał duży piec chlebowy, którego palenisko było w alkierzu. Wokół ścian pod sufitem barwiły się religijne obrazy. Największy z nich nad stołem dekorowały sztuczne kwiaty umieszczone na półeczce nakrytej serwetką. Obok gipsowej figury Matki Boskiej na stole stały również „rózgi” (bukiety ze sztucznych kwiatów) w drewnianych flakonach. Zamieszkałam właśnie w tej izbie. Sołtys z żoną sypiali w alkierzu na sofkach, a dwaj synowie – na poddaszku nad stajnią. Była w tym domu jeszcze „izdebka „ (mała izba), sień i komora. W izdebce mieszkał Żyd – pachciarz z żoną i trojgiem dzieci. Był to pracownik znajdującego się w pobliżu folwarku, który zajmował się przetwórstwem mleka. W kącie izdebki stała wirówka, warsztat pracy pachciarza. Mdła woń niedomytych naczyń i roje much w izdebce świadczyły dobitnie o warunkach sanitarnych tego pomieszczenia. Sołtys dawno już usiłował pozbyć się tego lokatora, ale bezskutecznie. Teraz nadarzyła się dobra okazja. W dużej izbie będzie szkoła, w alkierzu – mieszkanie nauczycielki, więc sołtys musi zamieszkać w izdebce. Szkoła okazała się ważniejsza od pachciarza i po dwóch miesiącach „pertraktacji” folwark zabrał swego pracownika.

Dwa miesiące nadprogramowych wakacji spędziłam bardzo przyjemnie. Bywałam w polu, na łące, w lesie i u sąsiadów. Pewnego dnia miałam niezwykle zajęcie. Świnka miała się oprosić, a gospodarze musieli iść w pole, więc poprosili mnie o dopilnowanie świnki. Z wielkim niepokojem przyjął ten obowiązek, ale wszystko poszło dobrze. Prosiątka, jedno po drugim, szybko wysuwały się na świat i każde od razu dopadało mlecznego sutka. Były bardzo ładne, różowe, błyszczące a niektóre w czarne łatki. Świnka była spokojna i nie przygniotła żadnego prosiątka.

Pierwszy raz w życiu znalazłam się na wsi i zetknęłam się z ludem. To też wszystko co tu widziałam, było dla mnie nowe i ciekawe, nowe zwyczaje i ubiór, który był swojej roboty. Kobiety nosiły „klosówki” (spódnice) z lnianej tkaniny w kolorową kratę i fartuszki do pasa w kolorowe paseczki na białym tle. Tylko bluzki i chustki na głowę były „kupce”. W dni świąteczne nosiły „burecki” (spódnice) z psiej wełny. Dziewczynki ubierano w „śnuruwecki”. Były to sukienki z kolorowej kraty prawie do kostek. Płeć męska nosiła ubrania z czarnego drelichu w białe paseczki po jednej nitce. Lniane koszule kobiety same kroili i szyły ręcznie lnianymi nićmi. Tylko niedzielne koszule męskie oddawano do szwaczki, by naszyła z białego płótna na maszynie przody, kołnierz i mankiety. Wszystkie tkaniny na bieliznę, ubrania, burki do podróży i przepiękne kilimy gospoście same wyrabiały. Przędły len i wełnę, które odpowiednio farbowały, a na wiosnę w każdym domu stukwały warsztaty tkackie. Gdzie były panny, tam i kuфы wypełnione „skarbami” swojej roboty na wyprawę. Bardzo podobała mi się ich sztuka, więc nauczyłam się prząść i robić na krosnach. Niełatwe to było, ale bardzo przyjemne. Mieszkańcy wsi mówili gwarą i mazurzyli. Na ogół rozumiałam ich, a znaczenia wyrazów regionalnych poznawałam przez obserwacje zachowania się ludzi przy ich wymawianiu. Np. Gospodyni powiedziała do córki stojącej przy oknie: „Helina, odcim się”. W tej chwili dziewczynka odeszła od okna.



*Na bocznej drodze kierowałam się wierzbami (fot. Tomasz Młynarczyk)*

Po przeprowadzce pachciarza nastąpiło przemeblowanie domu. Długa ława z izby powędrowała do mego pokoju – do alkierza, bo miał taką samą długość, a reszta mebli do izdebki, w której zamieszkał teraz gospodarz. Duża izba stała się klasą. Stały w niej ławki, stół, krzesła i tablica. Na ścianach powiesiłam odpowiednie obrazy. W moim pokoju postawiłam przy ławie blaszane łóżko i wiklinowy kosz, który zastępował mi szafę. Taboret przy łóżku uzupełniał moje umeblowanie. W kącie alkierza była kuchnia do gotowania i palenisko chlebowego pieca, z którego gospodyni często korzystała zostawiając na płycie kuchennej kopce wygarniętych z pieca węgla i popiołu. Oprócz mnie, było w tym domu mnóstwo innych sublokatorów, myszy, karaluchy i pluskwy. Z nimi nie mogłam żyć w zgodzie, ale i walka była trudna.

Nareszcie zaczęłam pełnić obowiązki kierownika i nauczyciela szkoły 4-oddziałowej I stopnia. Zaczęła się nauka na dwie zmiany w klasach łączonych: I z II-ą, III z IV-ą. Niektórzy uczniowie mieli 16 lat i z tymi było najtrudniej, zwłaszcza w zimie. Na pauzach wybiegali na lód, na torfiarki, gdzie nie dochodził głos dzwonka. Wracali, kiedy chcieli, a ja srożyłam się jak umiałam. Rezultat był taki, że następnego dnia znowu odchodziła ślizgawka. Można sobie wyobrazić ich postępy w nauce i moje osiągnięcia w pracy. Wkrótce przekonałam się o tym. Pierwsza wizytacja wypadła z oceną niedostateczną. Wiadomości dzieci nie na poziomie. Ale na jakim poziomie zastałam moich uczniów, to pan inspektor nie wiedział. Należało zawiadomić o tym Inspektorat, tylko nie było komu mnie o tym powiedzieć. Całą noc po wizytacji rozplywałam się w łzach i dalej uczyłam, jak umiałam. Wizytacja w drugim półroczu wypadła lepiej. Pan inspektor zainteresował się nawet moim mieszkaniem, którego „komfort” wywołał głośne westchnienie. Był to jedyny głos zachwytu, czy współczucia, a może troski o los początkującej nauczycielki wiejskiej. Na podwórzu czekała na inspektora gromadka matek, których dzieci nieregularnie uczęszczały do szkoły. Przyszły poskarżyć się na mnie z powodu wyznaczonych im kar za nie posyłanie dzieci do szkoły. Cierpiałam ze strachu, nie wiedząc, jak się to spotkanie skończy. Pan inspektor nie miał w tym wypadku wyrozumiałości dla kobiet i powiedział. „Krówki będziecie sprzedawać, mateczki, na kary, jeśli nie będziecie posyłać dzieci do szkoły”. Kobiety z szemraniem rozeszły się. Rodzice moich uczniów orzekli, że nie umieją uczyć. Skąd oni to wiedzieli, pozostało dla mnie na zawsze zagadką. Ale mieli oni i więcej powodów do niezadowolenia ze

mnie. Za każde zniesione święto kościelne, obdarowywano mnie epitetem „żydówka” i w te dni nie posyłano dzieci do szkoły. Walczyłam z rodzicami spokojnie, dyplomatycznie, aż wreszcie udało mi się ich przekonać, że dzieci mniej nagrzeszą w szkole pod moją opieką, gdy rodzice są w kościele, niż pozostawione same sobie. Pierwsze lody zostały przełamane.



*Dziewczęta chodziły z kądzielą i ja z nimi, bo miałam swój kolowrotek (fot. z sieci).*

Od nowego roku szkolnego nastąpiła zmiana. Szkołę przeniesiono na drugi koniec wsi, do małej izby bez podłogi, z kuchnią do gotowania i z dużym piecem chlebowym. Za tym piecem leżał stale na sofce właściciel domu chory na astmę. Zawiesiłam jego kąt dużą, nieaktualną mapą Polski. Był niewidzialny i tylko kaszel i ciężki oddech zdradzały jego tam obecność. Po skończonych lekcjach klasa była mieszkaniem gospodarzy, którzy byli już starzy. Tu gotowali i spożywali posiłki, których resztki na drugi dzień sprzątałam. Przychodziłam nawet wcześniej do szkoły, by doprowadzić klasę do należytego porządku. Od gospodyni nie mogłam więcej wymagać nad to, co potrafiła zrobić, zwłaszcza, że i wynagrodzenie nie równoważyło jej pracy. Było tylko nieznaczna pomocą finansową w ich trudnym życiu.

Uległo też zmianie moje mieszkanie. Teraz ja zajęłam izdebkę, a gospodarze resztę domu. Kupiłam sobie prawdziwe meble: szafę, stół z krzesłami, szafkę nocną, kuchenną, toaletkę i gzyms do firanki. A że igłą umiem władać, wkrótce moja izdebka zmieniła się w ładny pokój. Tylko teraz miałam trudną drogę do szkoły. W jesieni gubiłam kalosze w błocie, a w zimie brnęłam w śniegu lub mocowałam się ze ślizgawicą. Ale i to miało swój urok i byłam z życia zadowolona.

Na Boże Narodzenie wybrałam się do rodziców. Wieczorem gospodarz odwiózł mnie saniami na stację. Gruba powłoka śniegu pokrywała ziemię i była zadymka. Nawet zawieszona u sań latarka nie rozjaśniała ciemności. Konie nie widziały śladów, więc kołowaliśmy ze dwie godziny zanim dotarliśmy do stacji. Z ferii świątecznych wróciłam rano. Dookoła bielusieńko było od śniegu, który zrównał rowy z szosą i drogami. Szłam środkiem szosy, mając po bokach topole. Na bocznej drodze kierowałam się wierzębami, ale gdy mi ich zabrakło, zjechałam i znalazłam się w rowie, w śniegu do pasa. Nie mogłam z niego wyciągnąć nóg, a gdy usiłowałam pomóc sobie rękami, to i te zapadały się w śniegu. Na szczęście od wsi nadjechały sanie z drzewem. Obok nich siedł gospodarz okutany w burkę i kaptur tak, że go nie poznałam. Zapytałam, czy jedzie z Siedlanowa. A on na to ze śmiechem: „A pani skąd?” Teraz i ja się śmiałam, bo wyprowadził mnie znajomy ze śnieżnej topieli. Dalej łatwo mi było iść, gdyż miałam na drodze ślady sań i końskich nóg.

Poza nauką w szkole prowadziłam pracę kulturalno-oświatową z dorosłymi. Dziewczęta chodziły z kądzielą i ja z nimi, bo miałam swój kołowrotek. Ich izby były świetlicą. Tu prowadziłam chór, uczyłam towarzyskich gier i zabaw i tu odbywały się próby do przedstawień. W mojej małej klasie urządziłam z dziesiątką szkolną pierwszą jasełka, na które przyszli nawet Żydzi ze stacji. Było to widowisko, jakiego nikt dotąd nie widział. Z młodzieżą daliśmy „Wiesława”. Duży piec chlebowy był miejscem dla reżysera, suflera i „orkiestry” w jednej osobie. W następnych latach poszły na scenę „Gwiazda Syberii”, „Balladyna” i inne. Teraz teatrem były stodoły, w których scenę układano w zapolu, a klepisko było widownią. Mozolna to była praca, bo i dekoracje i kostiumy musieliśmy sami robić. Nie było gdzie wypożyczyć. Próby odbywały się w nocy, bo w dzień młodzież pracowała. Starsze społeczeństwo też nie było bierne, udzielało mi pomocy tak w pracy szkolnej, jak i pozaszkolnej. Teraz rozumieliśmy się nawzajem. Było mi dobrze, praca dawała mi dużo zadowolenia. Żyłam się z ludźmi i pokochałam ich. Przeżyłam z nimi 28 najpiękniejszych lat życia. Teraz żyję wspomnieniami, a gdy tylko chore od 23 lat nogi pozwolą, jadę do ukochanych stron, do moich przyjaciół, których, niestety co roku ubywa.